ROZMAITOŚCI.

Dnia 27. Czerwca. № 26. Roku 1855.

SPUŚCIZNA.

Z powieści genewskich R. Toepffera.

(Z francuskiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. N. 23. 24. 25. Rozmaitości.)

Gdyśmy przybyli na trzecie piątro, nieznajoma otworzyła jakieś drzwi. Zdawało mi się, że dostrzegam łzy w jéj oczach.

— „Czyś pani zmartwiona?“ spytałem.

— „Nie, panie... lecz.... niewiem, jak pana skłonić do tego, byś się ztąd oddalił... Zdaje mi się, że pan niepowinieneś wchodzić tu o téj godzinie....“

— „Dobrze, ja niewejdę, kiedy to panią tak niepokoi, lecz będę oczekiwał tutaj, dopókąd niewróci twoja matka. Wejdź pani, zapal świécę i wypocznij, a mnie dozwól pozostać tu na tym progu w szczęśliwém przekonaniu, że czuwam nad tobą, dopókąd kto inny mnie niezastąpi.“

Wówczas weszła nieznajoma, składając płaszcz u nóg moich, a za chwilę potém zabłysła świéca, która oświéciła skromne pomieszkanie: rodzaj kuchni czysto i porządnie utrzymanéj, gdzie kilka pięknych mebli dziwnie odbijało od sprzętów gospodarskich, połyskujących na półkach.

W téj chwili niemogłem widzieć rysów młodéj dziewczyny; ale cień jéj, odbity na zasłonie zakrywającéj w głębi pokoju rodzaj alkowy, zdradzał nadobną kibić i wdzięki równie szlachetnéj jak i młodością upiększonéj istoty. Z poruszeń cieniu mogłem wnosić, że starała się uporządkować swe włosy, spływające w gęstych lokach około szyi, któréj piękność podziwiałem już przy blasku pożaru. Jakkolwiek niedokładny był-to widok, wydawał mi się przecież zachwycającym, i coraz bardziéj owładał me serce porywający urok najżywszego i pełnego wdzięków uczucia.

Tymczasem upływały chwile w najgłębszém milczeniu, i tylko cień przekonywał mię o obecności téj, któréj widok był jeszcze wzbroniony moim oczom, pragnącym ujźrzeć ją co prędzéj. Widziałem, że usiadła i oparła głowę na ręku; ale jakieś szczególne chwianie, które przypisywałem zrazu pałającéj świécy, nasuwało mi domysły, które mię niepokoić zaczęły. Śledziłem z największą trwogą jéj cień, który zdawał się pochy-

lać i podnosić napowrót z wielkiém natężeniem; kilka razy zdało mi się, że słyszę przytłumione westchnienie; w końcu niemogąc już pokonać méj niespokojności, wpadłem do pokoju i ujźrzałem moją nieznajomę bladą i z przygasłemi oczyma upadającą pod ciężarem utrudzenia, słabości i pomieszania. W okamgnieniu pochwyciłem ją w moje ramiona i zaniosłem na łóżko ukryte za oponą alkowy. Tu okryłem ją czémprędzéj moim płaszczem, a potém szukając pomiędzy sprzętami, rozstawionemi w kuchni, znalazłem wnet trochę octu, którym z lekka natarłem jéj czoło i skronie.

Wyznaję, że stan téj młodéj dziewczyny zaczynał mię mocno niepokoić, stawiając mię w bardzo niebezpieczném położeniu, nietylko dla tego, iż wydawało mi się powabniejszém niż każde inne, w jakiém znajdowałem się kiedy w mojém życiu, ale nadto, że mogło istotnie skompromitować i zmartwić tę istotę, która stała się już tak drogą dla mego serca. W miarę jak usiłowania moje sprawiały jéj niejaką ulgę, zdradzały chwilowe poruszenia jéj pięknéj rączki wstydliwe pomieszanie, w jakie ją wprawiała moja obecność. Niechcąc narażać się jéj dłużéj, odstąpiłem od łóżka i pragnąłem z całego serca powrotu jéj matki, która jedynie mogła uśmierzyć dręczącą obawę młodéj choréj. Kilkakrotnie zdawało mi się, że słyszę jakiś szmer za progiem zwiastujący jéj przybycie; wnet jednak zawiedziony w mém oczekiwaniu, powracałem do dawnego stanu niespokojności.

Po kilku chwilach milczenia uchyliłem z lekka zasłony i spostrzegłem, że chora zasnęła spokojnie. Uczucie delikatności, które zrozumiałem dobrze, skłoniło ją odsunąć mój płaszcz a otulić się kołdrą. Mając tak dobrą sposobność uczułem w sobie niepohamowaną chęć przypatrzyć się dokładnie jéj rysom; przysunąłem więc świécę, i oczy moje napawały się widokiem jéj piękności, którą podwyższał jeszcze jakiś wyraz wdzięcznego nieładu i łagodny połysk zachwycającéj bladości. Kilka rozrzuconych loków ocieniało do połowy jéj dziewicze czoło, gdy tymczasem delikatna szyja spoczywała na rozpuszczonych warkoczach jéj długich, pięknych włosów. Nigdy jeszcze w życiu niewidziałem tak czarującego położenia ani tyle rzadkich wdzięków połączonych w jednéj osobie; serce moje opływało w upajającéj rozkoszy najżywszego uniesienia. A przecież byłbym prędzéj utopił zabójcze żelazo w mojém sercu, niż ośmielił się znieważyć jednem pocałowaniem nietknięte jeszcze róże tego niewinnego oblicza. Tyle tylko pozwoliłem sobie, żem się nachylił ku niéj i chwytał gorący jéj oddech, którego słodki powiew był dostateczny, by upoić me serce i moją wyobraźnię najczystszą wonią miłości.....

— „A to niegodziwość! Co pan tu robisz? Kto pan jesteś?“

Obejźrzałem się zapłoniony i drżący jak winowajca...

— „Pani“ — wyjąknąłem — „ja nierobię nic złego.... Wkrótce dowiesz się pani o wszystkiém od swojéj córki, gdy

sen, który nastąpił po osłabieniu, ukrzepi ją cokolwiek...“

— „Po jakiém osłabieniu?“ — rzekła zniżając głos. — „Co pan masz tu do czynienia? Ja nie jestem jéj matką.“

— „Jeźli pani nie jesteś matką, jakiém prawem oburzasz się na mnie? Czy za moje starania około tego dziécięcia, które przypadek oddał pod moją opiekę?....“

— „Pod twoją opiekę! Piękna opieka, na honor!!.... A, ty niegodziwcze! W taki to sposób wchodzi się do zacnego domu?.... Precz ztąd....“

— „Pani mi ubliżasz“ — odrzekłem — „powodując się niegodném podejźrzeniem. Dlatego zamiast się oddalić, jak to miałem zamiar uczynić, jak tylko mógłbym złożyć ten szacowny skarb w pewne ręce, zniewalasz mię pani swą mową i postępowaniem, bym pozostał raczéj.“

— „To nasza sąsiadka, panie“ — rzekła na to dziewica drżącym głosem; — „ona niewié, ile dobrego pan mi wyświadczyłeś. . Zostaw ją pan przy mnie i racz przyjąć najszczersze podziękowanie....“

— „Odchodzę, kiedy pani tego żądasz. Ale czy niemógłbym jeszcze usłużyć pani, starając się odszukać jéj matkę lub zanieść jéj wiadomość o pani?“

— „Znajdzie się ona bez pana,“ — odrzekła opryskliwie sąsiadka — „idź pan swoją drogą.“

Nieodpowiedziawszy nic téj kobiécie, pożegnałem piękną nieznajomę życząc jéj prędkiego wyzdrowienia i obiecując przyjść kiedy indziéj, by się widzieć z jéj matką. Poczem odszedłem zapomniawszy zupełnie o moim płaszczu leżącym na ziemi przy łóżku.

Byłem oburzony na tę sąsiadkę i gniewało mię to wielce, że licho nadniosło ją właśnie w téj chwili, gdy całkiem naturalna ciekawość skłoniła mię zbliżyć się do łóżka; wszakże sądząc po żalu, z jakiém opuszczałem to pomieszkanie, zdawało mi się, że zostawiam w niém moje serce.

Im daléj szedłem, przybiérało to tak świéże jeszcze zdarzenie powoli barwę jakiegoś minionego dawno snu, który sobie niewyraźnie przypominałem; a chcąc go ochronić niejako od niszczącego wpływu nowych wrażeń, błądziłem bez celu po ulicach niemyśląc już wcale ani o domu moim, ani o pożarze, ani téż o spóźnionéj porze nocy. Tylko gdym spotkał kogo, uderzało gwałtownie me serce; w każdéj przechodzącéj osobie zdawało mi się, że widzę, że poznaję matkę mojéj pięknéj nieznajoméj, i otaczałem już moim szacunkiem i miłością tę szlachetną istotę, która dała życie mojéj kochance. Mojéj kochance! tak bowiem nazywałem ją już w mojém sercu, w tym tajemnym przybytku świętości, gdzie żadne więzy niekrępują szczerości mowy, gdzie sama miłość dobiéra wyrazów i każdemu z nich użycza właściwéj słodyczy, swoich wdzięków i swego uroku.

Błądziwszy tak przez długi czas przybyłem w końcu na to samo przedmieście, gdzie mię spotkała tak niespodziana przygoda. Teraz dopiéro przypomniał mi się znowu pożar, i wszystkie zdarzenia tego

wieczora przedstawiały się kolejno méj duszy, ale tylko w przyćmionych barwach, w pośród których spostrzegałem wszędzie żywy obraz nieznajoméj dziewczyny, jéj białe ręce trzymające wiadro i tkliwe jéj spojźrzenie zwrócone ku pożarowi. Odnawiając tak jedno po drugiém moje wspomnienia, odprowadzałem ją na nowo, okrywałem moim płaszczem, chwytałem jéj rękę w ciemności; przedewszystkiém jednak czułem z najżywszém wzruszeniem miłe brzemię jéj ciała w mojém objęciu, i przypomniałem sobie z największém zachwyceniem tę chwilę, gdy przyciskając ją omdlałą do mego serca zaniosłem na łóżko śród samotności jéj pomieszkania. Takiemi zajęty myślami przechodziłem prawie obojętnie obok tego miejsca, gdzie niedawno jeszcze srożył się tak gwałtowny pożar. Połączonym usiłowaniom udało się w końcu pokonać straszny żywioł, który jeszcze tylko kłębami czarnego dymu zwiastował ostatnie swe wysilenia. Nadpalone belki, gruzy i popioł okrywały to puste miejsce, gdzie niedawno jeszcze stały schludne domy zaludnione spokojnemi rodzinami, które teraz błądziły w rozpaczy i bez przytułku. W pobliżu czuwało kilkoro ludzi na straży i jedna sikawka ciskała jeszcze od czasu do czasu samotny swój promień w takie miejsca, gdzie silny powiew północnego wiatru rozdymał zamierający lub źle przygaszony ogień. Opuszczając tę widownię zniszczenia, zapuściłem się w głębokiém milczeniu w ciemne ulice, i w kilka minut potém przybyłem do mego mieszkania.

III.

Już była druga godzina z północy, gdym wszedł do mego pokoju. Cały jeszcze przejęty wrażeniami z wieczora i obrazem méj pięknéj nieznajoméj, zostawałem pod wpływem jakiegoś tajemnego wzruszenia, które mi odbierało wszelką chęć do spania. Węgle na moim kominie tlały jeszcze; rozniecíłem więc ogień nanowo i usiadłem podumać przy nim. Tą razą marzyłem chętnie, z prawdziwą przyjemnością o rzeczach obchodzących me serce, zamiast jak zwykle bez celu, z próżniactwa tylko i o niczém w świecie.

Szczególna to jednakże, jak nieraz najmniejsza rzecz z otoku wywiéra przeważny wpływ na kierunek naszych myśli. Cały pogrążony w dumaniu ujźrzałem nagle przed sobą moje narzędzia do golenia, które zostawiłem rozrzucone na kominku, a między niemi owe doskonałe mydełko, które rozléwało jeszcze dokoła delikatną woń róży. Zapach ten, uderzający mię niespodzianie, zaczął powoli wywiérać jakiś arystokratyczny wpływ na moje zmysły, który wkrótce zwrócił myśli moje aż do téj chwili, gdym się znajdował w tém samém miejscu z zamiarem, pójść do kasyna i przepędzić kilka godzin śród świetnie ustrojonych dam i elegancyi wielkiego świata.

Odżegnałem śpiesznie te obrazy zbytku i świetności, by powrócić do skromnego przybytku mojéj młodéj kochanki; ale wyznaję, że niewchodziłem już do niego z taką samą przyjemnością jak pierwéj. Meble wydawały mi się zbyt

pospolite; sprzęty kuchenne raziły me oko, a rubaszny głos sąsiadki brzmiał wcale niemiło w moich uszach. Musiałem koniecznie, by ochronić moje marzenia miłosne od niszczącego wpływu tych rzeczy, zajmować bez ustanku moją wyobraźnię tém piękném dziécięciem, którego postawa, rysy, głos a nawet ubiór odznaczały się w méj pamięci tylko szlachetnością i wdziękiem. Tylko tym sposobem, żem rozmyślał ciągle o jednéj rzeczy; udało mi się w końcu zasnąć z niezachwianém jeszcze wrażeniem. Powrót Jakóba przerwał na chwilę mój sen; korzystałem z téj krótkiéj przerwy, by się rozebrać, i położyłem się śpiesznie do łóżka.

Można sobie wybrazić, jak dalece musiałem być zmęczony, kiedym spał do drugiéj godziny po południu. Gdym otworzył oczy, uderzył mię bardzo nieprzyjemnie blask dzienny, zbyt rażący w porównaniu z północném niebem, pod którém usnęła wczoraj moja wyobraźnia. Mimowolnie zacząłem żałować nocy, a osobliwie pożaru, który podług wszelkiego prawdopodobieństwa niemógł powtórzyć się już ani dziś ani jutro. Uczułem w sobie jakiś rodzaj próżni i byłem wielce zniechęcony.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KOMEDYA.

DRAMAT

Apollona Korzeniowskiego.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 21. 22. 23. 24. 25. Rozmaitości.)

Scena 4.

Basia i Prezes.

(Prezes w doskonałym humorze, wchodzi nucąc jakąś piosnkę. — Systematycznie kładzie kapelusz, stawia laskę, zdejmuje rękawiczki i na patrzącą nań Basię złą i wzruszoną, spogląda z podziwem spokojnym).

Basia *(tłumiąc niecierpliwość).*

Stryjaszek kochany,
Chwała Bogu wesoły, szczęśliwy, rumiany!
Kontent z siebie, ze świata! kontent z Cambri-
(niego!
Bardzo kontent z Karuty, zapewne! [1])

Prezes *(obojętnie).*

To tego,
Coś pani nie w humorze? Tak, tak, z Bożéj łaski
Niezły obiad się zjadło.

Basia.

W granatowe blaski
Zwycięztw gastronomicznych promienieją lica!
Można spocząć na laurach: za wieniec szlafmica
Niech posłuży; a cybuch, za tryumfu godło!

Prezes.

Cóżto za złe zwierzątko Basieczkę ubodło?
Gniéw, piękności *to tego*, nieprzystoi wcale!

Basia.

Jak dowcip prezesowi!
(zakłada ręce na krzyż, i z gniewem przystępuje do prezesa)
A więc doskonale,
Że Lidia zakochana?

Prezes.

Ba!

Basia.

Stryj wiedzieć nie będzie,
Nie widzi on jasno, choć zasiadł na urzędzie;
Ale ja patrzę, widzę!

[1]) *Cambrini* i *Karuta*, znani w Odessie: piérwszy jako cukiernik, a drugi restaurator. *P. A.*

Prezes.
Piękne oczy psujesz!

Basia.
Zakochana w Henryku!

Prezes.
Oho!

Basia.
Tak!

Prezes.
Żartujesz?

Basia.
Wyjdzie za mąż za niego?!

Prezes.
Pewnie przeznaczenie!

Basia.
Filozoficzne widzę stryjaszka trawienie!

Prezes.
Zwykle.

Basia.
Bardzo się cieszę! To daje wiek długi!
Więc na akt piérwszy zgoda?

Prezes.
Czy będzie akt drugi?

Basia.
Będzie, będzie, ciekawszy!

Prezes.
To tego, nie trudno,
Bo przy piérwszym, przepraszam, lecz było mi
(nudno.

Basia.
Zaraz lepiéj zabawię. A Lidii majątek?

Prezes.
To tego, akt ten drugi ma piękny początek!

Basia.
Ależ go oddać trzeba?!

Prezes.
Cóż więcéj?

Basia.
To mało?

(ze złością)

A radabym wiedzieć też, coby pozostało
Ze stryja, bez majątku? Człowiek — wielkie
(zero!
Urzędnik — pośmiewisko!

Prezes.
No, *to tego*, szczerą
Synowiczkę dał Pan Bóg!

Basia.
Więc to nic nie znaczy?
A rachunki z opieki trza zdać?

Prezes.
Nieinaczéj!
Wiadomo to każdemu, kto ciężar ten dźwiga.

Basia.
Jak Boga kocham, nie wiem: człowiek, czy ostry-
(ga?
I to zwie się mężczyzną, z rozumem i siłą!

Prezes.
To tego, tak zła jesteś, że aż patrzéć miło!

Basia.
A stryj tak niedołężny, że aż obrzydliwie!
Więc wszystko pięknie, dobrze, najlepiéj, szczę-
(śliwie!

Prezes.
Tak mniemasz?

Basia.
Jeszcze powié, że ja żądam tego!

Prezes.
Istna nieboszczka żona! Niech tam jéj *to tego*,
Da Bóg niebo! Bywało, jak się już zaciecze
W swéj złości, jak żyd w tańcu! Językiem po-
(siecze,
Porąbie i pokraje; lecz ni za dwa grosze
Sensu w téj złości nie ma! Tak i ty.

Basia.
No proszę!
Więc jeżeli bez sensu, to moje zmartwienie;
To stryj zamiary swoje puścił w zapomnienie?
Albo ma jaką radę i mądrą i mężka,
By z téj biédy wyjść całym?

Prezes.
Cały i zwycięzko!
Z tobą będąc w przymierzu, nie wątpię, *to tego!*
Zresztą, w tych wiadomościach nie ma nic no-
(wego;
Wiedziałem już o wszystkiém!

Basia.
Stryj wiedział? Zkąd proszę?

Prezes.

Wszak nietylko dla formy dwoje uszu noszę.

Basia.

Widzę, widzę.

Prezes.

To tego, kochanków rozmowa
Była rzewną, gorącą. Wiem ją co do słowa,
Bo jakoś się znalazłem, *to tego*, pod drzwiami.
Strasznie mię rozczulili: Chloe, Lidia łzami,
Henryk, Dafnis wymową! Słuchałem, słuchałem,
I, jeźli się nie mylę, sam łzy w oczach miałem
Ze śmiechu. Bo to niby, jak w książce zupełnie!
Powiadam ci, czas przeszedł, *to tego*, przyjemnie.
Żal mi się ich zrobiło. To też myślę sobie,
Nie wybrną sami nigdy, więc koniec dorobię.
Zwykle wnj, to w komedyach *Deus ex ma-*
(*china!*
A to była komedya w swym guście jedyna,
Na seryo odegrana. Widzę, niebezpiecznie!
Trzeba radzić i działać, *to tego*, koniecznie,
Więc myślę sobie, naprzód:

Basia.

Jeść obiad spokojnie?

Prezes.

Bóg cię przenikliwością udarował hojnie!
Jem i rozważam sobie. Basia mię ubiegła
Zapewne, bo dowcipna, czynna i przebiegła.
Kiedy ja, grzeszny człowiek, siedzę tu za stołem,
Ona ich tam otacza czarodziejskiém kołem
Téj wymowy, co teraz świszczy w mojém uchu.
No wyznaj mi twój trynmf! Ja w pokory duchu
Przystanę na tę wyższość twéj kobiécéj głowy.
Powiedz: cóż wygadałaś?

Basia.

A! mojéj wymowy
Cuda niewielkie, żadne!

Prezes.

Jak, *to tego*, żadne?

Basia.

Żadne, i jeszcze gorzéj!

Prezes.

Gorzéj? To szkaradne!
Gorzéj? I cóż to gorzéj?

Basia.

Wszystko wyczerpałam:
Mężczyzn, Henryka, w końcu siebie oskarżałam!
Byłam wymowna, czuła, tęskna, patetyczna;
Straszyłam i błagałam.

Prezes (*śmiejąc się*).

To scena komiczna!

Basia.

Stryj śmieje się? Wzruszyłam z grobu matki
(cienia!
Przysięgłam, i naprożno!

Prezes (*jak dawniej*).

Nie do uwierzenia!

Basia.

Przysięgłam po trzykroć!

Prezes.

No! nie ma w tém grzechu.
Krucyfixu nie było!

Basia.

I to warte śmiechu:
Ona nie uwierzyła, i o dowód pyta!
Obiecałam dać dowód.

Prezes (*z komiczną adoracyą*).

Oto mi kobiéta!

Basia.

Obiecałam, przysięgłam! Niechże stryj się śmieje,
Bo ja dowodu nie mam; a nasze nadzieje
Poszły z dymem! Nie koniec: niechno stryj po-
(słucha.
Mię w téj chwili napada godna gniewu skrucha,
I chcę Lidii maleńkie uczynić wyznanie
Grzechów moich i stryja! A co? Rozwiązanie
Śmieszne!? Niech stryj nie czeka mojéj weso-
(łości,
Bo pewno płakać będzie, tak jak ja ze złości
Teraz płaczę!

(*Płacze.*)

Prezes.

A widzisz, sama chciałaś tego!
Zemsta jest złe uczucie, i głupie, *to tego:*
Korzyści zeń nie bywa, ani za dwa grosze.

Basia.

Morały wcale w porę.

Prezes.

A słuchajże proszę!

Że ten Henryk, *to tego*, wcale nieoglądnie
Odrzucił dar twéj ręki; to ty nierozsądnie
Zaprzysięgłaś mu zemstę! Byłbym się nie zgo-
(dził:
Przecież i ja mam serce, bom się z niém urodził!
I żal mi biédnéj Lidii, co cierpi niewinna,
Gdyby nie korzyść jasna i przyczyna inna!
Jak me cele przed twemi przodkują, *to tego*,
Sądź sama: ty przegrałaś, ja dopiąłem swego!

Basia *(z radością)*.

Drogi stryj dopiął swego?

Prezes.

A! Teraz czułości!
W kobiétach same tylko są ostateczności!
Więc ten stryj, ta szlafmica, zero, pośmiewisko,
Ocalił całą sprawę, gdy gubiłaś wszystko?
Prawda, prawda, zanadto długie włosy macie:
Najmędrsze, w rzeczach ważnych głupstwa po-
(pełniacie!

Basia.

Stryju drogi, stryjaszku, o stryjciu kochany!

Prezes.

Chcesz dowodu? Mam dowód! List do cię pisany
Przez Henryka, dość będzie?

Basia.

Ależ dość! Wybornie!
Stryjciu, mój ty rozumny stryjciu! Ja pokornie
Uznaję twoje wyższość! Radź jak postępować:
Wype[illegible] loty!

Prezes.

Nic: Lidii pilnować,
Powied[illegible] że list u mnie. Tę samą grać rolę
Jaką juz [illegible]częłaś. Ja przyjdę.
(po chwili namysłu)
Nie! wolę
Przysłać po was. A wtedy nie dziwić się wcale
Memu postępowaniu! Ja wiem doskonale
Co robię i jak robię.

Basia.

Stryj nieoceniony,
Ideał wszystkich stryjów! Jeźliś obrażony
Na mnie, to ja na klęczkach przeprosić gotowa,
I wyjść za mąż — za stryja!

Prezes.

Zawsze pusta głowa!
Nie wymagam! Dziękuję! Ja ostrożny ptaszek:
Miałem już jednę taką.

Basia *(wychodząc)*.

Anielski stryjaszek!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

REBUS.

Rebus, czyli wyrażenie myśli swéj nazwiskami rzeczy widomych (res-rebus), ma pochodzić z Pikardyi, tak przynajmniéj wywodzi bezimienny autor Almanachu berlińskiego. Już sam herb Francyi „kogut-Gallus“ stanąć miał za wyraz „Gaule“ podobnie jak Wilhelm z Oranii Pyrkonosy, czyli „au cort nez“ przezwany, dorzucił do herbu swego trąbkę, bo trąbka wymawiała „cornet“ co brzmieniem swojém zupełnie przydomkowi się jego równało. Sławny Colbert wplenił w swą tarczę węża „coluber“, bo skład tych głosów wydawał jego nazwisko. W czasach rycerskich kwitły rebusy najbardziéj, i rebusami rozgłaszali zdarzenia po turniejach. Często po niemiłéj jakiéj przygodzie na harcach, widywano nazajutrz rycerza z plaskanką twardego sera na hełmie, a to się czytało „caso duro,“ a znaczyło nie koniecznie „ser“ ale twardą przygodę. Nie przeliczyć mnóstwa nazwisk z 15 i 16 wieku, jak się zawijały w rebusy. Bądź dla igraszki, bądź że taki był zwyczaj, ale malarze, sztycharze i drukarze prawie wszędzie się rebusem podpisywali. W Paryżu przy schyłku jeszcze zeszłego stulecia stała cała dzielnica Saint Jacques okryta rebusami; używano ich za wiecbę i napisy domów; musiano wreszcie wydać „almanach des rebus,“ a sławny Oudri rył i sztychował do niego tablice, ażeby schwycić klucz do rozwiązania tyłu zagadek i nauczyć się tego sposobu mówienia. Bez tego trudno było odgadnąć, naprzykład: że ten dom jest królewskiego złotnika „Collier“, z tego, iż na słupie srebrnym stał złoty kogut opięty sznurem pereł (collier). Lecz nic nie wyprze, kiedy się moda jaka zakradnie, owszem wszystko jéj ulega; i w owych czasach rebusami drukowano nawet książki do modlenia, zwane we Francyi „heures“; więc im za tytuł stał zégar z godzinami. Jedna modlitwa do Najświętszéj Panny w r. 1515 w Paryżu wydana, szła cała w samych rebusach. Najciekawszy jest rebus, a oraz najsławniejszy z owych czasów, z którego się wyczytywał cały hymn kościelny: „Pange lingua gloriosi.“

Główny Redaktor **M. Sarzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*